Tom VII. Nr. 8.
11. Września. 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

# DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

## Król Stanisław August Poniatowski.

### 1. Jak go carowa narzuciła Polakom na króla.

Pisałem wam, moi mili, w przedostatnim numerku Dzwonka o zasługach króla Stanisława Leszczyńskiego. Pisałem wam jak on przez całe życie starał się o dobro Polski, jak nauczał Polaków i dawał im mądre rady, wedle których mieli dobrze rządzić w kraju i ojczyznę ratować. Pisałem wam także, iż te rady i nauki króla Stanisława wiele pomogły Polsce, i uratowały ją od zguby. Zaś o tej sprawie opowiem wam dzisiaj nieco więcej.

Owoż ci Polacy, którzy się przy królu Stanisławie Leszczyńskim wychowali i wyuczyli, wrócili potem nazad do Polski. Tu rozpowiadali drugim o tem, co widzieli i czego ich nauczono, a co także w Polsce trzebaby zaprowadzić dla dobra całego kraju. Najbardziej zaś potrzeba było w Polsce, aby król miał większą moc, i aby każdy pan nie mógł robić tego wszystkiego, coby mu się podobało, a więc zrywać sejmy i inne psoty czynić. O tej potrzebie nauczali ci Polacy drugich i starali się aby tak postanowiono prawem.

A że w Polsce nie można było nic uczynić, zanimby cały naród na to pozwolił, więc wszystkich trza było przywieść do tego, aby taki nowy, dobry sposób rządzenia postanowili. Zaś wielu Polaków inacz myślało jak król Stanisław Leszczyński i ci, których on nauczał. Wielu najbardziej panów wielkich myślało, że to najlepiej kiedy każdy może czynić co chce, i kiedy nikt króla nie potrzebuje słuchać. Jużci myśleli oni źle, a myśleli tak dla tego, że nauki nie mieli dosyć dobrej, aby poznać dokumentnie co złe a co dobre. Dla tego trzeba było naprzód wyuczyć wszystkich dobrze, i pokazać im że tak będzie najlepiej, jak dobry król Stanisław Leszczyński doradzał.

Przeto też ci Polacy, którzy od tego króla powrócili do Polski, jęli najpierw drugich nauczać. I tak dla starszych pisali mądre xiążki jak król Stanisław, gdzie pokazywali ile złego dzieje się przeto, iż każdy może sejmy zrywać i króla niesłuchać, także iż w kraju taka swawola jest i hulanka, a pracy uczciwej mało. Zaś dla młodszych zakładali szkoły dobre, gdzie już od maleńkości dawano tylko same mądre nauki i rady, i wiedziono do dobrego.

Takimto sposobem pracowało w Polsce wielu zacnych Polaków. Najsławniejszym z nich jest xiądz Szymon Konarski, a ten był zakonnik. Pisał on wiele xiąg mądrych, i dobre szkoły zakładał, a w tych nauczał, i sam jeden bardzo wiele dobrego uczynił. Temu xiędzu pomagał drugi, xiądz Jordan, i wielu innych. Zaś także insi panowie i biskupi nauczali naród i prowadzili go do dobrego, jak biskup Józef Andrzej Załuski, znaczni panowie Czartoryscy, i bardzo wielki a sławny pan Stanisław Poniatowski, który za młodu był wielki chudzina, bo jak powiadają syn ekonomski, zaś przez pracę i zasługi został znakomitym panem, a syn jego nawet królem polskim. Także jeszcze wielu innych takich było Polaków, którzy bardzo gorliwie pracowali nad dobrem ojczyzny.

Działo się to wszystko jeszcze za życia króla Augusta Trzeciego, a kiedy tenże umierał, wyglądało już w Polsce całkiem inaczej. Już wielka część całego narodu poprawiła się, i Polacy wszelkim sposobem chcieli u siebie lepszy porządek i rząd lepszy zaprowadzić. Zaś wiedzieli oni, że do tego trzeba

najpierw jakiego króla dobrego, cobyto był człek mądry i zacny a także rycerz dobry, aby sobie z każdym umiał dać rady, tak iżby go naród szanował i kochał, a nieprzyjaciele żeby się go bali. Takiego to szukali sobie Polacy i chcieli wziąć na pana.

Aleć nie zawsze dzieje się tak, jakby człowiek chciał najlepiej. Podobnie stało się i w Polsce. Chcieli Polacy jak najlepiej, i najlepszego chcieli sobie wziąć króla, któryby panował na chwałę Bożą a na pożytek całego kraju. Tymczasem różni nieprzyjaciele postarali się, aby tak nie było, i aby żaden dzielny król nie został obrany w Polsce, także aby Polska do dawnej siły i wielkości nie przyszła.

Największym nieprzyjacielem Polski była carowa moskiewska Katarzyna druga. Ta kobieta przez całe życie starała się o zgubę Polski, a teraz w żaden sposób nie chciała dopuścić, aby się co dobrego w naszym kraju stało. Owoż kiedy Polacy myśleli nad obraniem dzielnego króla jakiego, carowa siła wojska przysłała do Polski i narzuciła Polakom na króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, tak iż go obrać musiano.

Ten Stanisław August był synem onego zacnego pana polskiego, Stanisława Poniatowskiego. Był zaś Stanisław August człek dobry bardzo i uczony, także polski kraj i naród kochał i rad im był uczynić najlepiej; ale był też człek słaby i nie rycerski, tak iż na swojem postawić nie umiał, a drugich słuchał, najbardziej carowej, z którą się znał od dawna. To zaś nie było dobrze dla Polski, o czem będą jeszcze historye w Dzwonku inną razą.

## Pieśń kołodziejska.

Koło goni, koło dzwoni,
Aż pęknie i stanie.
Serce boli, myślą goni
Aż i bić przestanie.

Bo przez różne progi, drogi
Koło się potoczy;
Czyś bogaty, czy ubogi,
Śmierć cię w grób zaskoczy.

Różne szprychy w mojem kole.
Różne w życiu chwile.
Różne szczęścia, różne bole
Ucichną w mogile.

*Sz. N.*

---

# Cudza krzywda nie grzeje,

czyli:

Historya prawdziwa o wieprzaku Józefowej, do którego ona przyszła nieuczciwym sposobem.

---

Niedawnym czasem wypadło mi jechać po interesie na Ruś, którato ziemia dobrze mi jest znana, bom tam za młodu nie mało czasu strawił między krewniakami, których na Rusi mam dość. Owoż po kilku dniach drogi zajechałem ci aż do miasta pewnego, gdzie na górze jest śliczny klasztor ojców Bernardynów, w którym co rok na święty Antoni bywa wielki odpust. Stary to już klasztor, bo i całe miasto nie dzisiejsze, ale jeszcze za bardzo dawnych czasów polskich zbudowane. I jeszcze do dziś dnia stoi tu ogromne zamczysko, które panowie Sieniawscy pobudowali na obronę miasta i kraju od pogan. Zacni to byli panowie, kraj kochali i o jego całość mieli staranie, o czem kiedyś da Bóg łaskawy obszerniej opiszę w Dzwonku. Został się po nich ten stary zamek z murami, z wałami, ale okolica inacz już wygląda jak niegdyś. Dawniej w około zamku płynęła rzeka Złota Lipa, i była mu na obronę. Zaś poźniej, kiedy pogaństwo przestało kraj napadać, puszczono ową rzekę w staw ogromny przed zamkiem, a ze stawu płynie ona tylko jedną stroną około zamku przez wielkie błonia i łąki, gdzie błota jest nie mało i trzęsawice ogromne.

Owoż przed temi błotami jest kęs dobry przedmieścia, na którem mieszka także mój kum Antoni, człek bardzo zacny i z którym się oba bardzo kochamy. Więc jużci do niego chciałem zajechać, boby się srodze gniewał gdybym w gospodzie stanął — i jadę sobie wedle grobli ponad one błocka. Aż tu patrzę hen na sto kroków od grobli, na błotach, jakieś zbie-

gowisko ludzi, taj jakieś płacze i narzekania. Ciekawość mnie wzięła, więc przystanąłem z boku drogi, a że mam koniska spokojne, zostawiłem je i sam dalej na one błocko do ludzi. Ledwie też uszedłem kilkanaście kroków, aż tu biegnie ktoś naprzeciw mnie. Patrzę aż to sam Antoni, który mnie poznał z daleka.

— A witajcie kumie — zawołał całując mnie serdecznie — dzięki Bogu który was znowu do nas przyprowadził. A jak się też macie? a wasza i dzieci? a czy na długo do nas przyjechaliście?

Ja też rad byłem serdecznie Antoniemu, i odpowiedziawszy na wszystko jak należy, ta zapytawszy kuma o zdrowie, o żonę i dziatki, wspomniałem sobie wnet na ono zbiegowisko i rzeknę:

— Mój Antoni cożeście tam robili z tymi ludźmi na błocku, ta co za płacze tam słychać?

— Wartałoby mój Wasylku, abyście sami na oczy zobaczyli oną sprawę, a potem opowiem wam całą historyę, wedle której idzie żywa nauka dla ludzi, iż krzywda cudza nie grzeje ani też nigdy na dobre nie wyjdzie.

Powiedziawszy tak pociągnął mnie Antoni za sukmanę, i niebawem zbliżyliśmy się do onej gromady ludzi. Stali oni tuż obok wielkiej trzęsawicy, na którą broń Boże nogą stąpić, boby człek zapadł po uszy w błoto. Naonczas sturknie mię Antoni jedną ręką lekko, a drugą wskazał na oną trzęsawicę. Patrzę aż tu ogromne wieprzysko, któremu tylko grzbiet widać było, zanurzony w błocku tak, że się ani ruszy.

— O dla Boga — zawołałem — a toć nieszczęście prawdziwe! Czyby też nie można wyratować?

— A co tam po ratunku — powie Antoni — toć już cuchnie, że go aż tu słychać, bo tak leży od trzech dni.

— I czyjażto szkoda taka mój kumie — pytam znowu.

— Ano Józefowej, co tam z boku zawodzi — odpowie Antoni.

— Biedne kobicisko — rzekłem, bo mi się jej żal zrobiło, a wiem dobrze co to za nieszczęście stracić takie piękne bydlę.

— Jużcić biedna — rzecze Antoni — ale widać już tak pan Bóg chciał ją ukarać za krzywdę drugich.

— Wielki Boże — zawołałem — toć przecie nie ukradła onego wieprza?

— Nie ukradłaci go tak po prostu, ale też żadnym uczciwym sposobem do niego nie przyszła — odpowiedział mój kum. Ale chodźcie już, to wam opowiem po drodze całą sprawę dokładnie.

Kiedyśmy wyszli na groblę i siedli oba na wóz, zaczął Antoni tak opowiadać:

Przecież wy sami kumie znacie Józefowę. Prawdę mówiąc jestto gospodyni jakich mało, a taka oszczędna jak żadna na naszem przedmieściu. Choć tam u niej nie zbyt bogato, ale przy dobrem gospodarstwie biedy nie znać, zaś od czasu jakeście tu u nas byli, przybyło jej nie mało dostatku. Coś od lat kilku przerobiła się Józefowa na mleczarkę, i z mleka też żyje najwięcej, bo państwo tamci wedle fary i na miasteczku regularnie codzień od niej biorą. Jakoż było jej z tem dobrze. Ale diabeł nigdy nie spi, i teraz babie spokoju nie dał. Rozłakomiła się na większy zysk, i zachciało jej się z niczego przyjść do dorobku. I patrzcie jaki sobie na to sposób wymyśliła.

Do mleka które codzień przedawała, zaczęła dolewać po kwarcie wody, i codzień też kwartę wody za mleko sprzedawała. Pieniądze za tę wodę składała osobno, a jak ich już nazbierała kilka cwancygierów, kupiła sobie prosiaka. Tego też prosiaka wykarmiła znowu za szachrajskie pieniądze, które miasto za mleko brała za wodę — zaś on prosiak chował się jej nad spodziewanie pięknie, i wyrósł na ono ogromne wieprzysko, któreście w błocku widzieli.

Będzie temu jakoś z tydzień, kiedy zaszedł do Józefowej kum Jacenty rzeźnik z Adamówki, i chciał kupić wieprza. Dawał jej już 35 reńskich nowych i funt słoniny z niego obiecał, a nawet kiszkę jednę i kiełbasę. Ale Józefowę jakby coś opętało, że ani rusz oddać za te pieniądze, zaś koniecznie chciała 40 reńskich, zaklinając się że ją tyle wieprz kosztuje.

— Ha! jeżeli was tyle kosztuje, to da Bóg i tyle weźmiecie za niego od innych ale nie odemnie — powiedział Jacenty. Zaś niedaj Boże, abyście się pomylili w rachunku, bo gotów wam jeszcze zmarnieć wieprzak, a szkodaby było.

Na to powiedzenie zaczęła wygadywać Józefowa, która też jest baba niepomiarkowana w gębie, a Jacenty nic więcej nie mówiąc poszedł swoją drogą.

Zaś o tem wszystkiem powiadała mi pod sekretem kuma Walentowa, która z Józefową ma dobrą znajomość, tak iż nic przed sobą nie ukrywają. Powiadała Walentowa, że chciała kumie odradzać, aby tak nie cyganiła, ale Józefowa nie tylko jej nie usłuchała, zaś jeszcze nakrzyczała na nią. Owoż Walentowa jako baba nie mogła długo utrzymać sekretu, i pomału rozgadała po całem przedmieściu historyę o wieprzaku Józefowej. Przyganiali ludzie takiej nieuczciwości, ale do Józefowej ani przystąpić z rozumnem słowem. Więc tylko czekaliśmy jak się to skończy, bo jużci cudza krzywda nikomu na dobre wyjść nie może, a Bóg za nią zawsze zeszle ukaranie.

Jakoż nie długo czekaliśmy. Dziś temu właśnie trzeci dzień, kiedy wieczorem zaczęła Józefowa po całem przedmieściu wielki hałas za wieprzem, który jej się gdzieś podział. Szukali go przez całe trzy dni, a co było pomstowania, i podejrzenia i obrazy Boskiej — tegoby nie zliczył. Zaś dopiero dziś wieczorem, nimeście przyjechali, dojrzał Hryćko Kowalów na błocku wieprza, i dał znać Józefowej. Ale to już za pożno i wychowanek zatopił się w rzece, jakby na pokazanie, że co nieuczciwym sposobem z wody powstało, to też i przez wodę zginie.

Kiedy tak kończył opowiadać Antoni, stanęliśmy właśnie przed jego domem. Bawiłem u poczciwego kuma całe dwa dni, i o różnych rozprawialiśmy rzeczach, ale mnie w żaden sposób nie mogła wyjść z pamięci historya o wieprzaku Józefowej. Toć skoro powróciłem do domu, rozpowiadałem o niej moim znajomym, a nakoniec zebrała mnie chęć opisania do Dzwonka, aby z tego inni także ludziska mieli naukę, że cudza krzywda nie grzeje, i że pan Jezus nigdy nie błogosławi nieuczciwemu dorobkowi.

# Piękne przykłady.

## Pisanie Jacentego z Magierowa do Grzesia z Mogiły, w którem jest opisanie szkółki i obrzynków w Kalnikowie.

Dzwonicie tam Grzesiu miły o tem wszystkiem na waszem Dzwoneczku, co jeno piękne i szlachetne, dlatego też godzi się sumiennie, aby i to, o czem wam teraz napiszę, znalazło rozgłos i posłuch wszędzie, gdzie jeno głos tego papierowego Dzwonka dochodzi.

Przed parą jakoś tygodniami wypadło mi odwiedzić moich krewniaków w Kalnikowie ta i samą panię dziedziczkę we dworze, która, że wam tak powiem sekretnie i niechwaliwszy się, jest moją chrzestną matką. Dość tam człowiek chleba z różnych pieców jadał, ta i świata widział nie mało, ale co takiego państwa, jak jest pan Karol Janko i jego żona Izabella, dziedzice Kalnikowa, to już chyba w dzień jasny szukaj ze świecą. Toć to są prawdziwi rodzice naszego ludu wiejskiego, bo czy to w biedzie, czy w chorobie, czy w sieroctwie, znajdzie tam każdy zapomogę, radę i opiekę. Dość się jeno popytać o to owych gumiennych, polowych, gajowych, co to dawniej byli prostymi zarobnikami, a teraz za łaską pana mieszkają sobie w białych chatach z kominami niby to jacyś z waszecia, a gospodarstwa mają śliczne, jak się patrzy. A zajrzyj no tam do izby, to zaraz na półce uwidzisz i Dzwonek, i ową Złotą księgę, i historyę szewca Jana Kilińskiego, i Ludzie z pod słomianej strzechy, i wiele innych xiążeczek, które pan co poczciwszym i piśmiennym ludziom porozdawał, a z których oni w jaką wolną chwilę nie mało zabawy i nauki mają. A ponieważ wielu jest takich, co to za poradą pana przysięgli na trzeźwość, i w karczmie nie mają co robić, to jak tylko zakosztowali owego czytania, to już tak nawykli do niego, że w niedzielę bez xiążki ani rusz. Ot przy mnie przychodzi Jacko Sadowy, co to już teraz nieboszczyk, a był on od niedawna leśnym u pana Janka, i wyjąwszy dwa reńskich, co to je był sobie z dochodów lasowych uzbierał, prosi pana, aby

mu za to jaką xiążkę zapisał. Z największą chęcią wysłuchał pan jego prośby, i już za parę dni miałci Jacko Sadowy Dzwonek u siebie.

Wiele musiałbym pisać, abym chciał o wszystkiem szczególnie wam donieść, a to jak na nieszczęście mój kumie nie wiele tam miejsca w tym naszym Dzwoneczku: a więc zaniechawszy dłuższego opisu, choć mnie bardzo do tego korci, opowiem wam po krótce jeszcze o tamtejszej szkółce i obżynkach.

Owoż od czasu jak tylko państwo Jankowie nastali do Kalnikowa, założyli oni tam szkółkę wiejską, w ktorej się sama pani Jankowa wychowaniem wiejskich dzieci zajmuje. Nie dalibyście mi wiary może kumie mój miły, gdybym wam to tak sam na sam w cztery oczy opowiadał, ale jużcić tak być musi, kiedy się wam tego publicznie nie waham powiedzieć. Ale słuchajcie no dalej, jak to w tej szkółce idzie. Skoro się jeno sierota jaka we wsi pojawi, która się nie ma do kogo przytulić, zabiera ją pani Jankowa do dworu, i staje się dla niej rodzoną matką. W młodym wieku zaprawia ona te sieroty do xiążki, a gdy się wszystkiego wyuczą co im na ich stan potrzeba, i gdy które z nich chęć ma pozostać przy dworze, to wedle upodobania praktykuje na kucharza, lokaja, ogrodnika lub pokojowę, a które przy dworze ostać się nie może, to wyposażone z łaski pani idzie za mąż lub w świat między ludzi. Ot teraz za mojej bytności w Kalnikowie było tam coś sześcioro takich małych sierot we dworze, co to jeszcze chodzą do szkoły. Aż się dusza radowała, gdym widział, jak to rano po pacierzach i śniadaniu wyszły owe sierotki czyściutko poubierane rzędem z pałacu a sama pani Jankowa za nimi, i wszyscy prosto udali się do szkółki, która się w pięknym umyślnie na to wymurowanym domku, o kilka kroków od pałacu znajduje. Tamto sama pani Jankowa uczy ich wszystkiego, co jeno które z nich pojąć może. Jedno czyta, drugie rachuje, trzecie pisze, inne znowu haftuje, szyje, słowem, każde z nich czemś innem zatrudnione. Przyznam się wam szczerze, aż mi się wierzyć nie chciało, gdy mi pani Jankowa pokazała setny zeszyt papieru, na którym była przepisana cała „Pieśń o ziemi naszej,“ a to tak pięknie, że i tam u was we Lwowie nie po-

wstydziłby się z takiem pismem. Każdy, co tę pieśń czytał drukowaną wie doskonale, że to jest dosyć spora xiążeczka, a przecież przepisali ją całą owe dzieci po kawałeczku. I toć była najlepsza próbka jak każde z nich pisze, bo na każdej kartce było podpisano, że to pisała Basiunia, a tamto Karolcia, a to znowu Marysia, Połosia, Tymcio, Jacio, Grzesio i t. d. Ten ostatni mój kumie, wasz imiennik, jest już tęgi chłopczyk, i ma też nielada spryt do kucharstwa. Gdybym zaś znowu na własne oczy był nie widział owego szycia i haftowania, tobym był nigdy nie wierzył na słowo, że to i nasze wiejskie dzieci są takie zdatne i zmyślne do takiej cieńkiej roboty. I tak codziennie, wyjąwszy dnie świąteczne, trudni się sama pani Jankowa rano i popołudniu po dwie godzin z temi dziećmi, i uczy je co może. A już gdy nadejdzie święto lub niedziela, to wszystkie dzieci z xiążeczkami jadą do kościoła do Krakowca, gdzie im się ludziska napatrzyć nie mogą, bo takie to twarzyczki pokorne i pobożne. Po południu znowu zabiera pani kilkoro co grzeczniejszych dzieci ze sobą na spacer, bierze pełne kosze jabłek i gruszek i jedzie na wieś. Tutaj wychodzą dzieci z chałup i kłaniają się swojej dobrej pani, krzyczą pa! pa! a pani Jankowa ze swemi sierotami sypie im pełnemi garściami owoce. I takci całą wieś objedzie, i wszystkich do syta obdzieli owocami. Wieczorem zaś po kolacyi klękają wszystkie wychowanki pod przewodnictwem najstarszej, a odmówiwszy pacierze, zaczynają społem jaką pieśń świętą jak n. p. Boże Ojcze.. Matko Chrystusa... Serdeczna Matko... i t. p. Gdym ci raz pierwszy ten spiew usłyszał, co się w ciszy nocnej daleko rozlegał, to aż sam upadłem na kolana, i prosiłem Boga o zdrowie i powodzenie dla takiej pani, co to się tak pięknie sierotami opiekuje. Ma ci przytem ta pani Jankowa apteczkę u siebie, i dla tego to jak do jakiego lekarza cisną się do niej chorzy nawet ze stron dalszych, i znajdują serdeczną pomoc.

A teraz jeszcze słów parę o obżynkach.

Za mojej bytności odbyły się tam także 7 sierpnia t. r. obżynki. Już od dawna przygotował się pan Janko na to, aby swoim ludziom jaką miłą niespodziankę sprawić. I tak wieczorem, gdy już nadeszli ze żniwa i królowa oddała wianek żytni,

zaczęła się serdeczna zabawa. Już tam pijatyki wielkiej nie było, ale za to wyniósł pan Janko na dwór cały kosz z różnemi pięknemi rzeczami, i zaczął owe upominki co pilniejszym żeńcom rozdawać. Jedni dostali piękne xiążeczki, drudzy obrazy, inni znowu korale, fajki, zwierciadła, wstęgi... a coś kilkanaścioro nawet takie metaliki, co to je wybito na pamiątkę owego obchodu pogrzebowego w Żółkwi. Po rozdaniu tych upominków zaczęto znowu sypać z koszów jabłka pomiędzy ludzi, a wtedy to już radości wielkiej nie było końca. Tylko was tam brakowało Grzesiu nasz miły, abyście własnemi oczyma wszystko to widzieli, i jakiego krakowiaka zaśpiewali, bo to wam wszystko składnie idzie jak z płatka. Myślałem ja wtedy sobie:

wezmę ja skrzypki
z zielonej lipki

i zagram im na uciechę, ale nie miałem jakoś tych skrzypek na podorędziu. Ale i bezemnie wyszpertali sobie parobczaki jakiegoś grajka, i przed pałacem z dziewuchami raźnie i ochoczo wywijali obertasa, krakowiaka i Bóg wie co tam jeszcze. Gdzieś aż o północy podziękowawszy państwu za podarki i zabawę, porozchodzili się do domów. A ja długo, długo jeszcze usnąć nie mogłem, tak mi różne myśli skakały po głowie, jakby tam nieprzymierzając także jakiego obertasa wywijały, aż w końcu mówię do siebie: ej napiszę ja chyba o tem wszystkiem do naszego Grzesia miłego, a spodziewam się że to wszystkim nie małą radość sprawi, i ot jakoś zaraz usnąłem.

Obyście w modlitwach waszych pamiętali o takich panach co to się tak szczerze ludkiem naszym zajmują, a przez zgodę, miłość, posłuszeństwo i przychylność, zasługiwali sobie u nich na taką dobroć i łaskawość. Zatrzymajcie też na zawsze w pamięci imię tego szlachetnego państwa, o którem wam piszę, i zostańcie mi z Bogiem.

*Jacenty z Magierowa.*

---

# Drugie pisanie Walka Bartnika z nad Obry.

(Niedawno było w Dzwonku pierwsze pisanie tego Walka do Szkółki Niedzielnej, więc i to drugie bierzemy do Dzwonka, gdyż niezawadzi ono pewnie naszym czytelnikom).

---

Kochany Jegomość był tak dobry, że moje pierwsze pisanie w Szkółce wydrukował. To mię tak ucieszyło, że do drugiego pisania nabrałem ochoty, bo taką mam naturę, żebym chciał, aby to co ja wiem, zaraz cały świat wiedział. Ale niech się Jegomość nie dziwi, że zamiast o pszczołach, to ja o gospodarstwie piszę, gdyż ja był pierw gospodarzem aniżeli bartnikiem, bo moja Kaśka przeszło 35 mórg roli po swych ojcach odziedziczyła.

Oj ciężko nam też to było na początku, chociaż od świtu do zmroku pracowalim, bo też nasza rola nietęga, a chociaż niedaleko Obry mieszkamy, gdzie śliczne są łąki, to jednakowoż my nie mamy ani krzty; a tu trzeba ojców utrzymać, i budynki poprawić, i rodzeństwo wypłacić, a tu czynsz, podatki, to jak młyńskie kamienie na biednym człowieku ciążą. To też trzeba się było kręcić, aby wystać. Aby grosz zarobić, wyjeżdżałem często, najczęściej z żydami, i nie pytałem się czy dobra czy zła droga, wynajmowałem się, i zawszem tęgo jechał. Mojej Kaśce się to nie podobało. Mówiła często do mnie: Walek, nie jeżdżaj na zarobki, bo zmarniejesz. Zarobisz kilka złotych, a za to konie wszystko zboże zjedzą, mierzwę po świecie rozniosą, ty roli nie dojrzysz, a co najgorsza, że przez targi i jarmarki przyzwyczaisz się do próżnowania i pijaństwa.

Alem ja na to wcale nie zważał, bom już w domu nie miał miru, i kieliszkiem też nie pogardziłem. Widziała moja Kaśka, że ze mną coraz gorzej, więc zaczęła na mnie nalegać, żebym poprzestał furmanić. Zawszem jej to przyobiecał, ale gdy żyd przyszedł po konie i to z niepróżną butelką, tom nie dbał o żonę, żeby była i pękła z płaczu, tylkom żyda słuchał, i jechałem gdzie tylko chciał za psie pieniądze.

Trwało to tak dosyć długo. Raz przyjechałem z jarmarku jak zwykle w nocy, a tak pijany, żem bicz, miech od obroku

i czapkę z głowy zgubił. Moja Kaśka tego dnia nic mi nie rzekła, tylko okrutnie płakała. Dopiero nazajutrz gdym leżał chory, tak mi mówiła: Walek, pięć lat furmanisz, i co z tego masz? rola zaniedbana, budynki i płoty lecą, bydło i konie ledwo nogi wleką, pełne kąty biedy. A jeżeli nie przestaniesz furmanić, próżnować i pić, to ta ziemia, którą naszych ojców i nas żywiła, pójdzie w obce ręce; a ty pójdziesz w służbę do tych, których teraz wozisz, a ja tego nie przeżyję — i zaczęła okrutnie płakać, aż mi się mdławo na sercu zrobiło, i zacząłem też płakać, i przyobiecałem jej, że już zaniecham furmanek, i od wódki się odpiszę. I dotrzymałem słowa, bom zaraz poszedł do naszego Jegomości, a kiedym mu powiedział mój zamiar, ucieszył się bardzo, do bractwa wstrzemięźliwości mię wpisał, i tak mi powiedział: Mój kochany Walenty, sprzedaj konie, a kup krowy, a ziarno oszczędzisz, rolę uprawisz i mleko mieć będziesz. O tem możesz się przekonać z przeszłorocznej Szkółki, a potem jak nie będziesz miał koni, to ci się o nie nikt nie będzie naprzykrzał, a przez to unikniesz sposobności do złego. Ta rada mi się spodobała, sprzedałem konie, i orałem krowami. Odtąd chociaż z wielkim uporem zaczęła bieda z kątów ustępować, a teraz dzięki Bogu jużby jej i ze świecą u mnie nie znalazł. Prawda że pszczółki, które zaraz po odpisaniu się od wódki nabyłem, dużo mi przynoszą, ale i gospodarstwo moje trzy razy mi tyle przynosi co dawniej. Zapyta się może jegomość: jakim to sposobem? Trochę cierpliwości kochany jegomościnku, a zaraz opowiem.

Jest temu sześć lat, pamiętam jakby dzisiaj, lato było bardzo mokre, nie było więc widoku, aby sobie pszczoły mogły tyle zarobić, ile na wyżywienie przez zimę potrzebują. Trzeba było im dopomódz, a że z tatarki wiele miodu znoszą, więc skorom sprzątnął żyto, zaraz na kawałku najlepiej wymierzwionego życiska zasiałem tatarkę. Zaraz po Matce Boskiej Siewnej zakwitła bardzo ładnie; pszczoły dla częstych deszczów nie miały z niej pociechy, ale za to sprzątnąłem ją zielono, i miałem wyborną paszę. Tak wcześnie zaorane i tatarką obsiane życisko, porosło wykruszonem żytem, które po zesieczeniu tatarki znacznie się rozkrzewiło, i po zimie ślicznie

mi rosnąć zaczęło; więc było mi żal je zaraz zaorać, chociaż na tem miejscu przypadały perki. Zostawiłem więc to żyto aż tydzień po św. Stanisławie, a że dobrze wyrosło, zesiekłem je dla krów, i po niem perki ładnie mi się udały. Odtąd zawsze wybierałem kawał dobrze wymierzwionego życiska, i zaraz na św. Jakób obsiewałem mieszaniną z żytem. Z mieszaniny miałem w jesieni a z żyta rychłą z wiosny paszę, a po niem sadziłem perki tydzień po św. Stanisławie, i dobrze mi się udawały. Tym sposobem miałem dużo paszy i mierzwy, a rola rodziła mi śliczne żyto i perki. Lecz jarzyny nie chciały mi się udawać. Łamałem sobie głowę, żeby wcale jarzyn nie siewać, tylko takie zboże, które się najlepiej udaje, i żeby to zboże nie za często po sobie następowało. Ale nie mogłem nic wymyślić, poszedłem więc do naszego pana, bo to jest dobry pan i gospodarz zawołany, a on mi tak powiedział: Mój Walenty, jeżeli mojej rady chcecie słuchać, to podzielcie rolę na pięć równych części czyli pól. Na jednem polu będziecie mieli żyto; na drugiem perki, ćwikłę i marchew; na trzeciem groch i mieszaninę; na czwartem znowu żyto; a na piątem trawę. Żebyście to zrozumieli, uważajcie jak macie sobie postępować:

W pierwszym roku uprawcie i dobrze wygnojcie jedno pole, i zasiejcie żyto. Po sprzęcie zaraz na św. Jakób zasiejcie jak dotąd mieszaninę z żytem, a będziecie mieli i ziarno i paszę. W drugim roku na tem samem polu po zesieczeniu żyta na zieloną paszę, a więc w tydzień po św. Stanisławie zasadzicie perki i ćwikłę. W trzecim roku pognojcie to pole i zasiejcie groch i mieszaninę, ale mieszaninę nie naraz, żebyście z niej mieli dłużej świeżą paszę — a potem przychodzi znowu żyto, ale w niem zasiejcie zaraz w jesieni trawę, tymoteusz albo rajgras, ale gęsto. W czwartym roku sprzątniecie żyto, a na tem życisku będziecie mieli w jesieni ładne pastwisko, albo też i nieco siana. W piątym roku zostawicie połowę na pastwisko, albo też wszystko na siano lub zieloną paszę, jeżeli będziecie chcieli mieć krowy przez lato na oborze. Trawę na siano sprzątniecie dwa razy, to jest po połowie maja i lipca; a potem znów uprawicie pod żyto, i znów sobie tak postąpicie. jak przez pierwsze pięć lat.

Len możecie siać w polu warzywnem, owies razem z grochem tak, że do wiertela grochu przybierzecie 3 lub 4 garnce owsa, a przy wianiu owies od grochu się odłączy.

Ten sposób gospodarowania jest dla was najlepszy, bo tu siejecie tylko takie zboże, które się wam najlepiej udaje, i na paszy wam nie zbędzie, bo jak się mogliście przekonać, macie od wczesnej wiosny aż do poźnej jesieni ciągle zieloną paszę; a na zimę macie dużo siana z mieszaniny i z trawy, a przytem i dużo warzywa.

Radziłbym wam siać trawę, a nie czerwoną koniczynę, boby się na słabej roli nie udała, trawa prędzej rośnie i łatwiejsza do ususzenia; toć też i rolę prędzej możecie pod żyto uprawić. Prawda, że trawa zaperza rolę, ale dla tego macie ją siać gęsto, przez jedno lato trzymać, a potem dobrze uprawić.

Tak mi dobry nasz pan poradził, i niech mu za to Bóg zapłaci, bo dopiero trzy lata w ten sposób gospodaruję, a już mi gospodarstwo więcej przynosi jak dawniej.

Rozpisałem się szeroko, bo to nasz Jegomość nam często powtarza: dzieci moje, trzeba nam Nieba, ale i chleba nam trzeba, abyśmy nie cierpieli głodu, i nie wyszli z ojcowizny. Więc ja też tak wiele pisałem, jak ja do chleba przyszedłem, bobym chciał aby wszyscy moi bracia mieli go podostatkiem.

Nie myślę, żeby mój sposób gospodarowania był najlepszy; owszem byłbym rad, gdyby kto jeszcze lepszy do Szkółki podał, żebym i ja z niego krzystał, bo to teraz taki świat, że każdy chce iść dalej.

Pod pierwszem mojem pisaniem podpisałem się Walek Bartnik, bom nie myślał, że drugi raz do Jegomości pisać będę; a że się może jeszcze zdarzy napisać, i kiedy nietylko bartnikiem, ale i gospodarzem jestem, więc odtąd moje prawdziwe nazwisko kładę, a tymczasem bądź Jegomość zdrów!

*Walek Buczak z nad Obry.*

# RÓŻNOŚCI.

*Piękne ofiary.* Pisaliśmy wam niedawno moiściewy o strasznym pożarze, który zniszczył miasteczko Rawę w Żółkiewskiem. Był to naprawdę ogień, jakiego nie daj Boże widzieć po raz drugi. Za kilka go-

dzin zniszczył całe prawie miasto do szczętu, bo nic a nic wyratować nie można było, i każdy był rad, jeżeli cało z życiem uciekł za miasto. Po-wynosili ludzie rzeczy na ulice, i tam zgorzało — a niejednemu w rękach zapaliły się sprzęty, które chciał uratować.

Jużcić ogień taki narobił szkody niemało, i gdyby nie miłosierdzie ludzkie, to wiele mieszkańców poginęłoby z samego głodu. Lecz u nas przecie po chrześcijańsku żyją ludzie, i wedle nauki pana Jezusa ratują bliźnich w biedzie. Siła różnych datków zwożą jeszcze ciągle do Rawy, a po całym kraju są składki dla biednych pogorzelców.

Otóż niedaleko Rawy jest Monastyr Magierowski, gdzie przed dwoma tygodniami był odpust znaczny. Na tym odpuście pewien zacny xiądz ruski, Paweł Leontowicz, miał kazanie do ludu, a w niem bardzo pięknie nauczał o cnocie miłosierdzia, jako każdy powinien być dla bliźniego bratem, i jak brat pomagać mu w nieszczęściu. Cudneż to było kazanie! i tak wam już powtórzyć nie potrafię dokładnie, ale to pewna, że wszyscy ludziska spłakali się rzewnie. Wiemci że i mnie z oczu jak groch lały się łzy, a w sercu tak rzewnie zię zrobiło, żebym taki zaraz był w ogień skoczył dla każdego chudziny.

Takto kochany xiądz Paweł Leontowicz rozczulił ludzi i zbudował nauką świętą, że co kto miał, to zaraz dawał na pogorzelców w Rawie. Dobywali ludziska ostatni grosik z kaletki, aby jeno także swoją ofiarę złożyć. Widziałem na własne oczy, jak biedne dziady żebraki swoją jałmużnę oddawali. Zaś najwięcej rozczuliła mnie biedna babina staruszka, dziadowina jakaś poczciwa, która ze łzami ostatni kaftan zrzuciła i oddawała na ofiarę. Kiedy zaś ją pytano, na co sobie taką szkodę robi, odrzekła poczciwa: Toć to wszystko co mam, i nic lepszego dać nie mogę.

Niechże im poczciwym Bóg łaskawy wynagrodzi stokrotnie za dobre serce, a zacnemu xiędzu Leontowiczowi użyczy dobrego zdrowia i błogosławieństwa swego, aby mógł jeszcze długo tak pięknie i zbawiennie lud nauczać.

*Pożary.* Zaś kiedy mowa o nieszczęściach ogniowych, to wam jeszcze dopiszemy, jakie były najnowsze pożary, których tego roku nieskąpo jest u nas. Dnia 3 września wybuchł ogień w gospodzie na Podgórzu pod Krakowem, i pomimo prędkiego ratunku spaliło się do szczętu 10 domów. Znowu jeszcze 23 sierpnia w pośród nocy wszczął się pożar w mieście Tarnopolu, gdzie na jednej ulicy spłonęło 3 domy. Byłoby się pewnie więcej spaliło, gdyby nie odwaga żydów, którzy bardzo żwawo i dzielnie ogień gasili. Także innych mniejszych pożarów bywa dość, ale o wszystkich nie możemy pisać, bo jak widzicie brak już miejsca w Dzwonku.

---

**Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.**